

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.  
 $\frac{1}{2}$  „ — 40 „  
 $\frac{1}{4}$  „ — 20 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Aktualne zagadnienie.

Swego czasu „Przegląd Wileński” dużo miejsca poświęcał zagadnieniu unji kościelnej. Było to jeszcze wtedy, gdy akcja, mająca na celu zjednoczenie Kościołów, dopiero się u nas rozpoczęła, gdy była uważana za inowację, pozbawioną widoków rozwoju, a tylko ze strony nacjonalizmu polskiego napotykała wyraźną niechęć i przeciwdziałanie. Z miejscowej prasy polskiej zabierał głos w tej sprawie jedynie „Dziennik Wileński”, zamieszczając ostre wycieczki przeciwko próbom wprowadzenia obrządku wschodniego, gdyż upatrywał w nich szkodę dla interesów narodowych polskich.

Uważając sprawę propagandy unijnej za kwestję wyłącznie religijną nie uważaliśmy za stosowne zajmowania wobec niej zasadniczego stanowiska, chociaż nie tailiśmy swych sympatyj do wznowianego w innej nieco formie dzieła Pocięjów i Terleckich, a to między innymi choćby ze względu na związane z niem tradycje historyczne, nadające odrębne piętno ziemiom W. Ks. Litewskiego również i pod względem wyznaniowym.

Z biegiem czasu obudziło się zainteresowanie dla zagadnień unji kościelnej również w tych kołach, które dawniej nie zwracały na nie uwagi. Zaczęły się ukazywać artykuły na ten temat i w „Słowie” i w „Kurjerze Wileńskim”. Znaleźli się nawet specjaliści — znawcy kwestji unickiej p. W. Charkiewicz w „Słowie” i p. wicz w „Kurjerze Wil.” — obaj, zajmujący wobec zapoczątkowanej przez Rzym akcji misyjnej stanowisko krytyczne, a nawet wręcz nieprzychylnie. Z p. Charkiewiczem nie tak dawno toczył polemikę na szpaltach „Przeglądu Wil.” p. Janowski, wytykając mu stronność i niewłaściwy punkt widzenia w zapatrywaniach na obrządek wschodni, poglądy p. wicza na nominację biskupa Czarneckie-

go spotkały się z krytyką ze strony naczelnego publicysty „Polski”, organu episkopatu polskiego.

Ostatnio obaj fachowi referenci zabrali głos z powodu ogłoszonej świeżo drukiem publikacji p. t. „Pamiętnik I konferencji kapłańskiej w sprawie unji kościelnej w Pińsku”. Konferencja ta odbyła się blisko rok temu w Pińsku, lecz dopiero teraz zostały podane do wiadomości publicznej jej przebieg i wyniki. Tematem konferencji były sprawy natury religijnej — referaty i dyskusja obracały się niemal wyłącznie dokoła kwestji, jaka forma obrządku wschodniego: czy galicyjska, czy synodalna bardziej się nadaje dla propagandy katolickiej wśród miejscowej ludności prawosławnej. Rozprawiano bardzo szczegółowo nad znaczeniem obrządków wogóle, nad ich pochodzeniem, odmianami, różnicami liturgicznymi, nad stosunkiem Stolicy Apostolskiej do rytu wschodniego i t. p. Zdawałoby się, że laika świeckiego wszystkie te tematy bardzo mało mogą obchodzić.

Dlaczegoż wspomnianej konferencji oba dzienniki wileńskie poświęciły tyle uwagi, gdy rozmaite zjazdy i narady kościelne, dotyczące obrządku łacińskiego z reguły nie wywołują żadnego zaciekawienia? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w artykule p. wicza, który kategorycznie utrzymuje, że „środki i metody stosowane obecnie w akcji unjonistycznej szkodzą samej idei zjednoczenia Kościołów i narażają na szwank interesy państwa, w którym akcja obrządku wschodniego jest prowadzona”.

P. W. Ch[arkiewicz] tym razem powstrzymał się od oceny konferencji pod kątem widzenia interesów narodowych i państwowych, nie szczędząc natomiast jej uczestnikom i sympatykom zjadliwych uwag, po większej części bezpodstawnych i zdradzających wyraźne uprzedzenie, a nawet złą wolę, (jak np. w ustępie, poświęconym listom powitalnym). Wartość argumentów teologicznych w sprawie obrząd-

ku wschodniego p. W. Ch. dostatecznie została oświetlona w kompetentnym czasopiśmie „Kitież”, co uwalnia nas całkowicie od obowiązku liczenia się z nimi, zresztą sądzymy, że opinia zgromadzonych w Pińsku kapłanów, wśród których spotykamy znane głośne nazwiska pisarzy i działaczy katolickich, jest chyba bardziej miarodajną, niż głos literata, uchodzącego za znawcę spraw unijnych dzięki swym studjom nad Placydem Jankowskim. P. W. Ch. usiłuje ciągle być *plus catholique que le pape*, a tego rodzaju usiłowania zostały przecież już dawno radykalnie ośmieszone.

P. wicz w „Kurjerze Wileńskim” nie drapuje się przynajmniej w toę obrońcy interesów Kościoła katolickiego. Wspomina wprawdzie mimochodem, że propaganda obrządku wschodniego szkodzi idei zjednoczenia Kościołów, uważając widocznie Stolicę Apostolską za niedość kompetentną w tej mierze, główny nacisk jednakże kładzie na interes państwowy, w który rzekomo godzi obecna akcja unijnistyczna. Bliżej p. wicz nie określa, na czym to niebezpieczeństwo polega, z rozmaitych jego aluzji i uwag można wywnioskować, że niepokoją go głównie dwie rzeczy: zaognienie stosunków wyznaniowych na terenie Białorusi, Polesia i Wołynia oraz rzekoma rusyfikacja ludności białoruskiej i ukraińskiej dzięki utrzymaniu formy synodalnej obrządku wschodniego.

Czy słuszne jednak są te obawy?

Zdrażnienie stosunków pomiędzy wyznaniem katolickim a prawosławnym, pomijając przyczyny psychologiczne, sięgające jeszcze czasów przedwojennych, nastąpiło głównie dzięki akcji rewindykacyjnej episkopatu łacińskiego, nie mającej nic wspólnego z działalnością misyjną jezuitów i redemptorystów obrządku wschodniego. Nie sądzymy, aby pro-

paganda unji przez Kościół katolicki mogła oburzać prawosławnych, o ile nie będzie ona otaczana specjalną opieką ze strony państwa, o ile będzie uprawiana środkami godziwymi i o ile w niej nie będą odegrywały roli żadne względy polityczne.

Jeżeli w przeszłości Unja kościelna wywoływała tyle tarć i walk, które doprowadzały nawet do głębokich przemian politycznych, to właśnie dzięki interwencji czynników państwowych. Za czasów Rzeczypospolitej, w wieku XVII zwłaszcza, unja była realizowana za pomocą usilnej presji na ludność prawosławną ze strony większości katolickiej i chociaż obrządek unicki nie zdobył sobie takiego położenia w państwie, jakim się cieszył obrządek łaciński, zajmował jednakże stanowisko uprzywiljowane w stosunku do wyznania prawosławnego. Ta gradacja właśnie była głównym powodem waśni religijnych, które w znacznym stopniu przyczyniły się do upadku Rzeczypospolitej.

A znów pod rządami rosyjskimi zniesienie unji nastąpiło również nie wskutek przyczyn wewnętrzno-religijnych, lecz dzięki represjom, stosowanym przez państwo, wskutek czego antagonizm wyznaniowy pomiędzy katolicyzmem a prawosławiem na ziemiach ruskich pogłębił się jeszcze bardziej.

Słowem interwencja państwowa, a nie sama idea unji zaogniła stosunki wyznaniowe. Obecnie, jak się zdaje, niebezpieczeństwo to zupełnie nie grozi. Rządy polskie nie tylko nie popierają akcji unijnistycznej, ale nawet spoglądają na nią z pewną nieufnością, czego odbiciem są właśnie artykuły p. wicza w „Kurjerze Wileńskim”. Mamy też wrażenie, że misjonarzom katolickim obrządku wschodniego bynajmniej o opiekę i pomoc państwa nie chodzi. Wystarczy, jeżeli się nie będzie czyniło im przeszkód i traktowało ich bezstronnie. Praca ich wówczas nie

A. BARAŃSKI.

## Niedoszły pogrzeb.

(Przekład z białoruskiego).

— Nudnem stało się życie w wiosce białoruskiej. Wojna i rewolucja już dawno minęła, ludzi namnożyło się aż za dużo, zarobku nigdzie niema i wyjechać niema dokąd. Dawniej, bywało, ludziska mieli zwyczaj po cerkwiach i kościołach szeptać pacierze, w święta wieczorami cięli się w karciecia i jakoś czas zabijało się. A dzisiaj? Niema chęci patrzeć na takie życie! Oglądaj wiecznie te same sąsiedzkie gęby, nikt cudzy do wsi nie zajrzy. Chyba policjant, komornik lub sekwestратор. I gazety nie te, co dawniej. Coprawda, sam nie czytam, ale gdy dawniej coś ci sąsiad przeczyta — jest co posłuchać: tam pociąg kogoś przejechał, tu ktoś sam sobie w łeb palnął, „Angliczanka” wciąż grozi wojną ni to Szwedowi, ni to Turkowi. A dziś pożał się Boże! Co stoi w gazecie? Całą ci sąsiad powoli przecedzi i dowiesz się, że nikt na strycku nie zadyndał, nikt z ruszto-

wania łbem o bruk nie grzmotnął, nikogo auto nie przyprasowało, i nigdzie bandyci banku nie oczyścili. I poco czytać taką gazetę, gdzie tylko: uświadomienie, odrodzenie i znów uświadomienie? Zdaje się i po naszymu piszą, a djabli wiedzą co znaczy.

Wyrzekałby tak Maciej Hołub jeszcze długo, siedząc na przyźbie z sąsiadem, gdyby mu nie przeszkodził pastuch Sawka. Ten bez tchu prawie od szybkiego biegu, mokry od potu krzyczał:

— Do jeziora prędzej — Ryharowicz utonął!

W ciągu kilku minut na miejscu wypadku zgromadził się spory tłum. Każdy przybiegający zapytywał z niepokojem:

— Gdzie topielec?

Ale odpowiedź była zbyt cicha, dość było rzucić okiem na jezioro. O kroków dwadzieścia od brzegu, na znacznej głębokości, stała bez ruchu na spokojnej wodzie rybacka „duszehubka”, wyłobiona z grubej kłody sosnowej. Przez brzegi łódki przerzuciona widoczna była sieć mokra — własność Ryharowicza. Słomiany kapelus, widniejący białą plamą na wodzie obok łódki, też należał do niego. Nikt z obecnych nie wątpił, iż Ryharowicz znajduje się

będzie miała zabarwienia politycznego i nie wyjdzie poza sferę duchowego oddziaływania. Cerkiew prawosławna, mając równe szanse, będzie mogła, jeżeli zechce i potrafi, przeciwstawić się skutecznie wysiłkom propagandowym działaczy misyjnych katolickich. Zwycięży ten, kto będzie miał większą siłę moralną. Rola państwa powinna ograniczyć się jedynie do czuwania, by rywalizacja wyznaniowa nie przybrała niepożądanych form fanatycznej wojny religijnej, z towarzyszącymi jej akcesorjami ekscesów i gwałtów. Ale tymczasem wcale się na to nie zanoszą.

Drugi wzgląd p. wicza na ewentualność rusyfikacji ludności białoruskiej i ukraińskiej zupełnie nie wytrzymuje krytyki. Przedewszystkiem dziwną się musi wydać obawa rusyfikacji tej ludności, którą dziś bez przeszkód rusyfikuje Cerkiew prawosławna dzięki cerkiewno-słowiańskiemu językowi liturgicznemu i przewadze języka rosyjskiego w nauce kościelnej. Powtóre nowy obrządek wschodni posługuje się nie wyłącznie językiem rosyjskim, lecz również ukraińskim i białoruskim, w znacznie większej mierze, niż to czynią duchowni prawosławni. Toruje on więc drogę tym upośledzonym dotąd krajowym językom do uzyskania prawa obywatelstwa w Kościele wogóle. Zresztą za obrządkiem wschodnim, jak o tem świadczy konferencja pińska, wypowiadali się gorąco nawet zainteresowani tu bezpośrednio kapłani narodowości ukraińskiej, których trudno przecieź posądzać o zakusy rusyfikacyjne. Alarmy więc p.p. wicza i Charkiewicza są najzupełniej nieuzasadnione.

Wogóle podchodzenie do sprawy akcji unjonistycznej od strony t. zw. polskiej racji stanu daje się wytłumaczyć jedynie hipertrofią kultu państwowości, która cechuje dziś społeczeństwo polskie. Cokolwiek się dzieje czy to w dziedzinie społecznej,

czy kulturalnej, czy religijnej—nieodmiennie ukazują się na scenie „interes państwowy“. Czy współczesne państwo może i powinno uprawiać jakąkolwiek politykę wyznaniową—jest to zagadnienie, wymagające osobnego omówienia, ale nie ulega wątpliwości, że w danym wypadku, w odniesieniu do akcji unjonistycznej, najlepiej na tem wyjdzie ono samo i najlepszą odda usługę sprawie zjednoczenia Kościołów, jeżeli będzie się trzymało od niej zdaleka.

## Niewłaściwy ton.

Artykuły w „Przeglądzie Wileńskim” bardzo rzadko napotykać jakkolwiek oddźwięk na łamach prasy litewskiej zarówno w Wilnie, jak w Kownie. Nie wiem, czemu to należy przypisać być może lekceważeniu pisma, które nie reprezentuje panującej w kraju opinii i konsekwentnie stroni od aktualnych walk nacjonalistycznych.

Prawdziwą więc niespodzianką dla mnie był artykuł p. Vygandasa w Nr. 8 „Musu Vilnius”, organu Związku Wyzwolenia Wilna p. t. „Gość z księżycy, czy Marsa?”, będący odpowiedzią na wywody, zawarte w artykule wstępnym „Przeglądu Wileńskiego” (Nr. 4—5).

Owym gościem z odległych planet mam być ja, a to dlatego, że rzekomo nie wiem, co się wokoło mnie dzieje. Nie wiem więc podobno o polityce eksterminacyjnej polskiej względem Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, nie wiem, że statystyka urzędowa polska nie posiada żadnej wartości, nie wiem wreszcie, że wszyscy Ukraińcy z Galicji Wschodniej, gdyby im danó wybierać między Polską a Ukrainą Sowiecką, bez wahania opowiedziliby się za przynależnością do U. S. S. R. i t. d.

Przyznaję się, że ta ostatnia informacja jest istotną dla mnie rewelacją. Co się tyczy pozostałych spraw i kwestyj, o których wspomina p. Vygandas,

w pobliżu, na dnie jeziora. Marynarka leżała porzucona na brzegu.

Po upływie półgodziny zarzucono dużą sieć. Połów ryby był niezwykły, lecz napróżno zebrany tłum wyglądał w sieci topielca.

Najenergiczniej pracował Maciej Hołub.

— Co będzie, jeśli go nie znajdziemy? — myślał sobie. — Cóż to za pogrzeb bez nieboszczyka? Jak tu śpiewać pieśni pogrzebowe, przepłukiwając kieliszkiem gorzałki?

A tłum na brzegu jeziora wciąż wzrastał. Porzucono pracę w polu. Na trzawach malowała się twoga i niepewność: odnajdą czy nie?

Do gromady podeszła Agata Janki Kulawego. Przed chwilą zbierała grzyby w pobliżu. Zobaczywszy tłum nie mogła nie zainteresować się tem, co się działo koło jeziora.

— Kiermasz przenieśliście na jezioro, czy co? — zadrwiła głośno.

— Porzuc żarty. Człowiek utonął — zauważył z wyrzutem jeden z sąsiadów.

— Kto?

— Ryharowicz!

— Utonął? A któż to śpi w sosniaku przypiekając bok na słońcu? — pomyślała. Postawiła kosz z grzybami na łące i rzuciła się z powrotem skąd przyszła.

Za chwilę stała na niewielkiej polanie leśnej, którą zalewały gorące promienie słońca. Tu, jak na łożu królewskim, leżał wyciągnięty, jak długi, bohater dnia Ryharowicz i głośno chrapał. Agata nachyliła się i poczęła go szarpać za łokieć.

— A bodaj cię... Patrzcie go, co za nieboszczyk. Cha! Cha! Cha! — siecią chcą go złapać.

Ale opamiętała się i przemówiła spokojnie, energicznie tarמושąc spiącego.

— Franuk, ścierwo, cóż ty śpisz? Toż twojami sieciami rybę łowią. Czy im pozwoliłeś?

To poskutkowało. Przetarł oczy pięścią i popędził do jeziora.

— Popamiętają mniel Kto śmie brać moją sieć bez pozwolenia?! — rzucił, oglądając się na Agatę.

Za chwilę Ryharowicz ogarnął okiem widok niecodzienny: na jeziorze w łodziach ciągnęli sieci jego sąsiedzi z wioski. Tam, bez wątpienia, była i Ryharowicza sieć. Na brzegu, zwartym szeregiem

to zarzut rzekomej mojej co do nich ignorancji jest wprost śmieszny. To raczej p. Vygandas spadł z księżycy i po raz pierwszy wziął do ręki „Przeгляд Wileński”, najwidoczniej bowiem nie czytał w nim ani artykułów o pacyfikacji ukraińskiej, ani szeregu uwag krytycznych o danych statystyki narodowościowej, któreml tak chętnie operuje publicystyka polska.

Mam wrażenie, że lepiej się orientuję w stosunkach narodowościowych w państwie polskim, niż p. Vygandas, ale przypuśćmy, że się mylę i że słuszność ma mój oponent, który utrzymuje, że Ukraińcy, Białorusini i Litwini (bez Żydów, Niemców, Rosjan, Tatarów i t. d.) stanowią około  $\frac{1}{3}$  całej ludności państwa. Nie zmienia to w niczem zasadniczej tezy mego artykułu, że walka na dwa fronty dla Białorusinów i Ukraińców jest programem nierealnym i że nawoływania p. Birżiszki do wspólnej walki z Polską nie prowadzą do rozwiązania ani kwestji wileńskiej, ani kwestji białoruskiej i ukraińskiej w *plaszczynie międzynarodowej*.

Przyznaję chętnie, że zmienia ją zasadniczo twierdzenie p. Vygandasa, że wszyscy Ukraińcy galicyjscy i wołyńscy ciążą do Ukrainy Sowieckiej. Gdyby to było prawdą, w takim razie istotnie upadłby tragiczny dylemat, na który kładłem nacisk, ale wydaje mi się, że p. Vygandas jest w grubym błędzie. Ani UNDO, ani duchowieństwo unickie z metropolitą Szeptyckim na czele, ani tembardziej bazylianie z biskupem Chomyszynem, ani nawet Selrobrawica i U. O. W. bynajmniej nie tęsknią do ustroju sowieckiego, który potrafi stosować metody pacyfikacyjne niemniej bezwzględnie, a w dodatku bardziej systematycznie. To samo da się powiedzieć o Białorusinach, czego dowodem są protesty Narodowego Komitetu i Centrosojuzu, zamieszczone w jednym z ostatnich numerów naszego pisma.

Walka z polskim imperjalizmem i nacjonalizmem, jaką prowadzą iredentyści ukraińscy i białoruscy nie jest równoznaczna z dążeniem ich do znalezienia się pod rządami czerwonej Moskwy, chociaż w konsekwencji może do tego doprowadzić, jak tego dowiodło powstanie Chmielnickiego.

P. Vygandas twierdzi, że „Ukrainiec, Białorusin,

Litwin uważają dziś Polskę za największego i najbardziej niebezpiecznego swego wroga, gdyż Polska stara się ich zniszczyć pod względem narodowym”. Bardzo to być może. Ale nie nastroje i odruchy uczuciowe są czynnikiem decydującym, lecz interes polityczny. Mamy tego wymowny przykład w niedalekiej przeszłości. Społeczeństwo polskie w Kongresówce w ciągu stu lat prowadziło zaciętą walkę z zaborcą i przepojone było nienawiścią do carskiej Rosji. Gdy jednak wybuchła wojna wszechświatowa, to samo społeczeństwo w olbrzymiej swej większości stanęło zdecydowanie po stronie Rosji, w obawie przed zwycięstwem niemieckim, gdyż tak nakazywał mu interes polityczny, mniejsza o to, złe, czy dobrze rozumiany.

Czy można sobie wyobrazić bardziej wrogie uczucia, niż te, jakimi pałali do siebie podczas wojny narody francuski i belgijski z jednej strony, a niemiecki z drugiej? A oto po dziesięciu zaledwie latach obserwujemy radykalną zmianę nastrojów w masach i wyraźną tendencję w kołach wpływowych polityków do wzajemnego zbliżenia, a nawet zawarcia przymierza.

Pobudki uczuciowe są zbyt kruchym fundamentem, by na nich można było opierać programy polityczne na dalszą metę. A mnie przecież chodziło o przyszłość, o linię zasadniczą, a nie o taktykę, mającą na celu moment bieżący i doraźny zysk. Dowodzi tego tytuł artykułu: „Hasła a program”.

P. Vygandas z przekąsem powiada, że Ukraińcy i Białorusini prędzej usłuchają „wiecowych” hasel prof. Birżiszki, niż bardzo „realnych” ostrzeżeń pana Abramowicza. Ja sądzę, że Ukraińcy zwłaszcza mają wśród siebie tak wytrawnych polityków, że nie potrzebują słuchać niczyich rad ani moich, ani p. Birżiszki. Zresztą z żadnymi ostrzeżeniami nie występowałem. Wykazywałem jedynie, że sytuacja Ukraińców i Białorusinów jest niezmiernie trudna, jako znajdujących się między młotem i kowadłem, z czego niewątpliwie sami zdają sobie dokładnie sprawę, i że propaganda prof. Birżiszki nie liczy się zupełnie z tą okolicznością.

P. Vygandasa, niewiedzieć czemu, moje rzeczo-

stali znajomi mu ludzie i z trwogą przyglądali się łodziom. Niespostrzeżony zbliżył się do gromady i krzyknął:

— Cóż to za drwiny. Kto pozwolił?

Obecni błyskawicznie obejrzeni się w kierunku dobrze znanego głosu.

— W imię Ojca... — pisnęła jakaś staruszka, bezwiednie machając ręką koło nosa.

— Trzymajcie nieboszczyka — ze śmiechem wrzasnęła Agata, biegnąca śladem Ryharowicza, — bo ucieknie z pogrzebu. Chrapał, bestja, w sosniaku.

Jak na komendę, gromada wybuchnęła długim, wrzaskliwym śmiechem. Doleciał on i do ludzi w łodziach.

Akcja ratunkowa wstrzymała się raptownie. Ratownicy widząc Ryharowicza żywego, zaczęli również głośno się śmiać. Tylko Hołub nie przyłączył się do ogólnej wesołości i splunął z obrzydzeniem.

— Tyle ludzi niepokoić i... napróżno — pomyślał.

Gromada nie rozchodziła się.

Gdy Hołub wyszedł z łodzi, natychmiast stanął

przed Ryharowiczem. Podparł się łokciami i rzuciwszy nań nienawistne spojrzenie, precedził przez zęby:

— Cóż to sobie myślisz?

Ryharowicz odpowiedział dzwicznym, szczerym śmiechem.

— Czego ryczysz? Co cię tu śmieszy? Czy to, że z całej wsi zakpiłeś? Inaczej śmiać się będziesz, gdy dostaniesz ode mnie w gębę!

To mówiąc, postąpił krok naprzód i potrząsał pięścią pod samym nosem Ryharowicza.

Ten gest wyraźnie nie podobał się Ryharowiczowi. Nie czekając długo pchnął napadającego tak, że Hołub cofając się, mimowoli, rękami instynktownie wywiął w powietrzu, by zachować równowagę i z trudem utrzymał się na nogach.

Hołub poczuł się mocno skrzywdzonym i zorientował się odrazu, iż najwygodniej będzie odwołać się do gromadzkiej sprawiedliwości. Poprawił czapkę i głosem podniesionym przemówił:

— Sąsiedzi, widzicie tego wyrodka? Myśmy go ratowali od śmierci, porzuciliśmy najpilniejszą pracę w polu, w domu a teraz patrzcie go! Popycha mię,

we uwagi wysoce zirytowały. Stara się przeto wmówić w swych czytelników, jakoby przedstawiał sprawę stronnie, zamykając oczy na rzeczywistość, a nawet jakoby zapewniał, że Polska przychylnie się odnosi do idei Witoldowej. Oczywiście takich absurdów wypowiadać nie mogłem. Przeciwnie zaznaczyłem zupełnie wyraźnie, że krótkowzroczna nacjonalistyczna polityka polska nie jest zupełnie zdolna do zrozumienia doniosłej koncepcji wielkiego Kiejstutowicza na nieszczęście zarówno swoje, jak Litwy, Białorusi i Ukrainy.

P. Vygandas niepotrzebnie wyłamuje drzwi otwarte dowodząc z wielkim ferworem, że utworzenie wielkiego organizmu państwowego między Bałtykiem a morzem Czarnym, jednoczącego ziemie litewskie, białoruskie i ukraińskie posiada w Polsce zdecydowanego przeciwnika. Tak jest niewątpliwie. I ja jestem tego samego zdania.

Ale p. Vygandas utrzymując, że dążeniem Związku Wyzwolenia Wilna jest realizacja idei Witoldowej i że cała jego polityka polega na połączeniu trzech narodów w walce ze wspólnym wrogiem — Polską, zapomina, że nie tylko Polska przeciwstawia się tym dążeniom, ale w równym, a może nawet i mocniejszym stopniu także Rosja, jakkolwiek formę przybiera: czy absolutystycznej monarchji, czy demokratycznej republiki, czy związku sowieckiego. Rosja zaś jest o tyle groźniejszym przeciwnikiem idei Witoldowej, że wobec swego ogromu, swej potęgi i swego położenia geograficznego nigdy i w żadnych okolicznościach *nie będzie czuła się zmuszoną* do ustępstw i do poskromienia swych zaborczych zakusów, wówczas gdy Polska, jeżeli nie dobrowolnie, to wskutek niepomyślnych dla siebie konjunktur międzynarodowych, pierwiej lub później będzie musiała przystać na takie właśnie ukształtowanie się stosunków w Europie Wschodniej, a nawet je we własnym interesie popierać.

Jeżeli Związek Wyzwolenia Wilna, względnie p. Vygandas inaczej sobie przedstawiają perspektywę przyszłości, to niech wyłożą swój program poważnie i rzeczowo, tego zaś rodzaju argumentacja,

chce bić, biłby i mógłby zabić, jeśliby nie bał się tej wielkiej gromady. A kogo poniewiera? Mnie, który pierwszy mu biegł na pomoc, pierwszy poradził sieci zarzucić. Ale chodzi tu nie tylko o mnie. Przecież on zakpił z was wszystkich. Jestem pewny, iż zrobił to umyślnie. Pomyślcie sami. Na drwiny z nas wszystkich, rzucił swój kapelusz na wodę i łódź od brzegu odepchnął, tylko poto, by zażartować złośliwie z dobrych, życzliwych sąsiadów, którzy jak głupcy biegli go ratować, a przynajmniej odnaleźć i po chrześcijańsku pochować; nie dać go rybom i rakom zeżreć. Powiedzcież, czy nie stała się nam wszystkim wielka krzywda? Czy Ryharowicz nie powinien być ukarany?

— Zaskarżyć go do sądu — odezwał się ktoś.

— Co tu sąd pomoże — ciągnął dalej Hołub. Jest to sprawa nasza, sąsiedzka.

— Wsypać mu dziesiątek różeg i to po gołem ciele — zaproponował Jaś.

Kobiety i dziewczęta poczęły nieznacznie oddzielać się od gromady i zmierzać w kierunku wiś. Niektóre próbowały odciągnąć mężczyzn na stronę i namawiały iść do domu. Ostrożniejsi, ci co wie-

jaką się posługuje mój oponent w swym artykule jest dobra w przemówieniach wiecowych, lecz w zasadniczej dyskusji jest nie na miejscu.

L. A.

## Głos pacyfisty o stosunkach polsko-litewskich.

Mniej więcej dwanaście lat już minęło, jak narody polski i litewski odzyskały niepodległość państwową, jednak wzajemne ich stosunki pozostają nadal nieuregulowane, co nastroszeni pokojowo zarówno Litwini, jak Polacy boleśnie odczuwają, szczególnie tu w Wileńszczyźnie, gdzie litewskość z polskością tak są splątane i powikłane. Ten niesmak animozji narodowo-państwowych zmusza wszystkich ceniących harmonię społeczną do szukania sposobów zaradzenia złemu, którem nas obdarzyła fatalna dla kraju przeszłość historyczna.

Rok ubiegły był rokiem jubileuszowym dla narodów o kulturze zachodniej, do której się garną i Litwini i Polacy. W tym roku czołowa jej reprezentantka — Francja obchodziła kilka znamienitych stuletnich rocznic: wzięcie Algieru, powstanie romantyzmu, rewolucję 1830 roku — „Trois Glorieuses” i dzień urodzin Mistrała.

Uroczystości Mistralowskie są bardzo pouczające dla mieszkańców Wileńszczyzny. W czasie tych uroczystości złożono szczerzy hołd i znakomitemu poecie i odrodzonemu językowi Prowancji. Tymczasem istnieją dokumenty z przed stu laty o wcale odmiennej treści. W roku 1830 Akademia Królewska ogłosiła nagrodę 300 franków dla tego literata, który najlepiej napisze dzieło pod tytułem: *„Comment extirper les patois et amener tout le peuple en France à ne parler que le français”* (jak wyplenić gwary prowincjonalne i doprowadzić całą ludność Francji do mówienia tylko po francusku).

dzieli, jak surowo karze prawo samosąd, nic nie mówiąc, znikali. chociaż mieli ogromną chęć wziąć udział w wymierzaniu kary Ryharowiczowi, o winie którego przed wystąpieniem Hołuba nikomu nie śniło się. Teraz każdy czuł się pokrzywdzony. Że całe zajście należało przypisać przypadkowi — nikt w to nie chciał wierzyć. Zresztą oskarżony nie miał najmniejszego zamiaru usprawiedliwiania się. Przyglądał się obecnym z pewnym odcieniem pogardy i nie przestawał śmiać się. Rozwścieczyło to ostatecznie bardziej zapalonych chłopców i już dla nikogo nie ulegało wątpliwości, iż trzeba Ryharowicza ukarać. Pozostawało nierozwiązaną tylko kwestją, czy należy się mu chłosta, czy też lepiej wykąpać go w jeziorze.

Zrozumiał w końcu Ryharowicz, iż nienawiść zasiana przez Hołuba zaraźliwie udzieliła się wszystkim obecnym i że może ratować się tylko ucieczką. Obejrzał się dokoła, jakby chciał wybrać i przeczyścić sobie drogę. Ten rzut oka obecni wlot pochwylicili.

Pierwszy podbiegł Hołub. Za nim rzucili się inni.

— Różgi, czy kąpiel? — zapytywano.

Kto z tej nagrody skorzystał — nie jest dla nas ważne, lecz bardzo pouczającym jest porównanie między oficjalną pogardą, nawet nienawiścią do języków prowincjonalnych w owych czasach, a naprawdę, szczerymi uroczystościami, po upływie stu lat na cześć tego pogardzanego wówczas języka Prowancji i jego poety, kiedy to do rodzimej wioski Mistrala zjechali się i przedstawiciel prezydenta i ministrowie i najznakomitsi literaci Francji, aby uczcić jego pamięć. Wniosek sam przez się nasuwa: czynnik silniejszy nie znosi powstającej nowej siły dopóty, dopóki ta nowa siła nie utwali się, a wtedy, to co było w pogardzie, zaczyna nawet oficjalnie być czczone — jestto zjawisko życiowe i znane w historii.

W stosunkach polsko litewskich rzecz się miała podobnie. Nowoczesne odrodzenie narodowe litewskie rozpoczęło się w roku 1883 od powstania założonego przez dr. Jana Basanowicza miesięcznika „Auszra”. Jak w Prowancji, tak i tu ruch odrodzeniowy rozpoczęła inteligencja, która wyszła z pod słomianej wiejskiej strzechy. Ten ruch narodowy wywołał niechęć ze strony miejscowej, po większej części spolonizowanej szlachty, a nawet całej inteligencji polskiej. Nie wierzono, że ten litewski *patois* może się odrodzić i stać się językiem literackim. Największe niezadowolenie z usiłowań odrodzeniowych litewskiej inteligencji wiejskiej panowało pośród szlachty litewskiej: w jej środowisku działacze narodowi Litwini otrzymali pogardliwy przydomek „litwomaków”, a i dziś nawet przedstawiciele szlachty litewskiej, przedewszystkiem dawniejszej daty, nie bardzo są zadowoleni z owoców pracy odrodzeniowej litewskiej i z żalem wspominają te czasy, kiedy dobry, pracowity lud litewski nie troszczył się o sprawy ogólnonarodowe i kalecząc swą mowę, jak umiał przystosowywał się do języka dworu.

Lecz rozwój wypadków, wielka wojna, a przedewszystkiem wytrwała i usilna praca inteligencji litewskiej złożyły się na to, że Litwini potrafili nawet stworzyć swoją państwowość i stać się równouprawnionym członkiem w gronie innych narodów i państw, a w konsekwencji mają pełną możność

krzewienia i udoskonalania swego języka i własnej kultury narodowej. Nie znajdzie się dziś nikogo, kto by nie rozumiał, że niepodległość państwowa jest takim skarbem, którego ani mały, ani duży naród dobrowolnie się nigdy nie wyrzeknie. I pod tym względem linja postępowania obu narodów — polskiego i litewskiego — jest jasna i ustalona — *oba narody będą rozwijać swoją państwowość i utrzymywać niepodległość*. A więc pozostaje tylko szukać dróg do rozstrzygnięcia nieporozumień, które wytworzyła przeszłość historyczna.

Zasobniejszy od narodu litewskiego naród polski, jeszcze przed pięćdziesięciu laty, opierając się na warstwie szlacheckiej, jako silnym czynnikiem ekonomicznym i kulturalnym, o ideałach ogólnopolskich, nie miał wielkich trudności w swej ekspansji na terenach etnograficznie litewskich. Psychologicznie jest rzeczą zrozumiałą, że Polacy nie byli skłonni do ustąpienia Litwinom już zdobytych na ich terytorjum placówek. Na tym gruncie powstała obustronna walka, a nawet wzajemna nienawiść. A wobec tego, że tych pozycyj, do których pretendują jedni i drudzy, jeszcze na szereg lat wystarczy, jeszcze długo nie będzie braknąć powodów do waśni i sporów polsko-litewskich. Ale w interesie obu powaśnionych stron jest szukanie dróg, żeby te spory przybierały formę bardziej kulturalną i żeby powodów do kłótni było coraz mniej.

Zatarg pomiędzy Polską a Litwą oficjalnie dotyczy niby tylko kwestji Wileńskiej, ale faktycznie odegrywa w nim poważną rolę moment psychologiczny. Sprawa Wileńska czy za kilka, czy za kilkadziesiąt lat zostanie rozstrzygnięta na podstawie wzajemnych ustępstw, o ile przedtem nie wybuchnie wojna, która obie strony może stracić w przepaść nicości. Ale tej ewentualności nie bierzemy pod uwagę, bo któż w swych przewidywaniach i rachubach liczy się z możliwością katastrofy? Normalny zaś rozwój życia wymaga szukania drogi pokojowej dla rozstrzygnięcia sporu polsko litewskiego.

Teoretycznie można układać rozmaite projekty rozwiązania kwestji Wileńskiej, biorąc wzór chociażby ze Szwajcjarji, gdzie stosunki narodowościowe są ure-

Hołub nie czekał wyjaśnienia. Wówczas gdy inni trzymali Ryharowicza, by się nie wyrwał — z całej siły parł go bliżej brzegu i w ostatniej chwili tracił silnie w plecy.

Dał się słyszeć plusk wody, przekleństwa i śmiech.

Nie zamierzano utopić Ryharowicza, chciano natomiast dobrze go nastraszyć.

Jezioro nie było głębokiem, jednak Ryharowicz wolał nie czekać na dalszy rozwój wypadków. Jak tylko pozbył się nabranej do ust wody, rzucił się do stojącej blisko łodzi, wskoczył do niej i żerdzią począł się odbijać od brzegu. W ten sposób uratował się od dalszego prześladowania.

Za chwilę na brzegu jeziora było pusto.

Po drodze, prowadzącej do wsi, leniwie posuwały się gromadki uczestników i świadków niebywałego zajścia. Ten, który najmocniej trzymał Ryharowicza za kark, odezwał się nagle do idącego obok przyjaciela:

— Naprawdę tak znęcał się nad Ryharowiczem, przecież on nie winien.

— Nie winien? A pocóż tak go tarmosił?

— Czy ja wiem? Jak inni, tak i ja.

— Stało się świństwo! Trzeba to jakoś odrobić.

Do takiegoż wniosku dochodziły i inne grupki powracających wieśniaków.

Ostatni powracał Hołub. Szedł samotny. Nie było chętnych do towarzyszenia mu. Krzywdę swą pomścił, przeżyte wzruszenia wstrząsnęły nim, ale go nie zadowoliły. Czuł niesmak. Nie miał żadnej roboty i nie mógł sobie wyobrazić jak spędzi drugą połowę dnia.

— Pogrzebu we wsi nie będzie, na chrzciny i na wesele też na razie nie zanoszą się — pomyślał.

Usiadł znowu na przyźbie, ziewnął głośno, prostując szeroko ramiona i mruknął do siebie:

— Nudne to życie wiejskie!

gulowane kantonalnie, czy z Belgji, gdzie dwie narodowości współżyją w jednym państwie, położonem w sąsiedztwie dwóch starych państw pobratymczych: Francji i Holandji, czy jeszcze jakim innym sposobem. To byłaby teoretyczna strona zagadnienia, pomijająca moment psychologiczny, który stanowi czynnik niezmiernie ważki w zatargu polsko-litewskim. Wobec tego dla wszystkich ludzi dobrej woli dążących do pokojowego rozwiązania tej sprawy tak skomplikowanej wynika potrzeba głębszego i czynniejszego interesowania się tem psychologicznem podłożem sporu i przygotowywania gruntu do jego rozwiązania, bowiem tylko mozolna, długa i szczerą pracą pokojową obu odłamów społeczeństwa może się skutecznie przyczynić do wzajemnego poznania się, które będzie główną podstawą porozumienia.

Bardzo często przypomina mi się rok 1920 w Wilnie, kiedy podczas jednego dyskusyjnego zebrania, na którym pewien ziemianin z północnej części Suwalszczyzny, ze starej historycznej rodziny krajowej, wypowiedział się w tych mniej więcej słowach: „gdy wyrośnie nowa generacja w Polsce i w Litwie, być może nastąpi bliższe porozumienie, niż za czasów Jagielly, ale teraz musimy poczekać, dopóki stare krzywdy pojdą w zapomnienie... Ten piękny język litewski zachował się w swej czystości w północnej części Suwalszczyzny, gdzie nas obywatele Polaków prawie nie było, gdzie najwyższą stała również kultura rolna, tam zaś gdzie nas było więcej, my ludowi litewskiemu, oprócz zniekształconego języka polskiego, niemal nic nie daliśmy”... Szczerze to wyznanie większości zebranych nie przypadło do gustu, ale zawierało ono niewątpliwą, chociaż gorzką prawdę. Istotnie bowiem współczesne odrodzenie narodu litewskiego rozpoczęło się najpierw w północnej części Suwalszczyzny, gdzie lud litewski nie pozostawał pod wpływem dworu, gdzie wieśniak był zamożny, gdzie najwięcej zachował poczucia własnej godności osobistej.

Pierwiastek walki klasowej który tak jaskrawo się ujawniał w ruchu narodowym litewskim zaznaczył się również wyraźnie w pierwszych latach pracy państwowotwórczej, dopóki nie ukształtowały się ideały ogólnonarodowe. Dziś już staje się widocznym, że podłoże klasowe nieporozumień litewsko-polskich traci na znaczeniu, bo po pierwsze, przywileje stanowe tak w Polsce, jak i w Litwie Niepodległej należą już do przeszłości, po drugie zaś wyrosło już nowe pokolenie inteligencji litewskiej, które na sobie nie doświadczyło skutków antagonizmu między wsią i dworem. A więc o jedną przyczynę nieporozumień w stosunkach polsko-litewskich wkrótce już będzie mniej.

Druga przyczyna obustronnych nieporozumień, szczególnie tu w Wileńszczyźnie, tak samo już zanika, a jest nią brak poczucia godności własnej u wieśniaka. Jeszcze w pierwszych latach wojny światowej, miejscowy wieśniak Litwin zapytany o coś przez inteligenta po litewsku dziwił się temu i gorszył, bo od wieków głęboko żył się z myślą, że język litewski to coś niższego, niekulturalnego, że jest to tylko język chłopski, a wobec tego wieśniacy miejscowi z dziećmi starali się po litewsku nie mówić, jeżeli tylko sami umieli kilka słów po polsku. Teraz już jest wcale inaczej, rzecz naturalna, za wyjątkiem tych miejscowości, gdzie po litewsku już mówią tylko starzy. Swego języka miejscowi wieśniacy Litwini już nie uważają za pośledniejszy od innych

języków i nawet niejednokrotnie energicznie się domagają, żeby był on wykładany w szkołach miejscowych.

W Wilnie, szczególnie pomiędzy masą najbiedniejszą niechęć do języka litewskiego znacznie już osłabła, a przecież jeszcze tak niedawno, wymysły pod adresem Litwinów „pogański język”, „pogańska wiara”, „ciemnota” i t. d. — były na porządku dziennym; obecnie już tylko bardzo rzadko jakaś zirytowana Józefuowiczka posługuje się podobnymi argumentami. Nawet nie tak dawno kaczką gazeciarską o rozgraniczeniu Wilna i zamurowaniu Skopówki spowodowała w środowisku stróży i kucharek tylko akademickie dysputy na temat, jakieby skutki takie rozgraniczenie za sobą pociągnęło.

Krótko mówiąc, w Wileńszczyźnie już dokonywa się przeobrażenie psychologiczne w masach ludowych, już odczuwa się wśród nich chęć do rozwiązania sporu polsko-litewskiego i już mało zwraca się uwagi na język czy pochodzenie. Stwierdzając tę przemianę należy, rzecz zrozumiała, pominąć szowinistów zawodowych, których fachem jest szerzenie nienawiści narodowej. Ale w szerokich masach ludności uprzedzenia narodowościowe już wygasają.

Z całym naciskiem należy stwierdzić, że prasa w danym wypadku nie jest wiernem odbiciem nastrojów szerszego ogółu. Prasa polska (prasa litewska w Wileńszczyźnie nie wywiera większego wpływu na masy) nie może dotąd pozbyć się tonu zaczepnego i prowokującego w stosunku do Litwinów. Odznacza się też rażąca niekonsekwencją.

Naród estoński niemal dwa razy mniej liczny niż litewski, zamieszkały na obszarze tak samo o wiele mniejszym, niż terytorjum Litwy Niepodległej jest przez całą prasę polską niezmiernie ceniony i poważany. Przy każdej sposobności podkreśla się jego odporność i tężyznę narodową. Natomiast te same cechy narodu litewskiego znajdują w prasie polskiej surową ocenę, chociaż Litwinom w rzeczywistości było może trudniej bronić się przeciw zakusom wynarodowiającym z kilku stron, niż Estończykom. I pozatem w stanowisku prasy polskiej, gdy zachodzi mowa o terenach etnograficznie litewskich, a Wileńszczyzna przynajmniej częściowo jest takim terenem, odczuwa się tendencja do zignorowania żywiołu litewskiego (choćby w artykułach o motywach tkanin miejscowych, o turystyce na terenach Wileńszczyzny i t. d.). I rzecz zrozumiała takie postępowanie każdego Litwina musi głęboko obrażać.

Ale to wrogie nastawienie prasy jest w znacznej części wynikiem obecnego stanu rzeczy, przy którym społeczeństwo litewskie i polskie całkiem ze sobą się nie stykają i mało o sobie wiedzą nawzajem. Czas więc już wielki zrobić pierwszy wyłom w tym murze, pozostawiając na stronie zawodową dyplomację, która wtedy tylko dojdzie do porozumienia, gdy opinia publiczna będzie tego pragnęła.

Tutaj w Wilnie, które dzieli obydwa narody i państwa, należałoby właśnie przystąpić do przygotowywania gruntu, na którym mogłoby wyrosnąć przyszłe porozumienie. Czy nie byłoby tedy wskazaniem rozpocząć pracę chociażby od zbliżenia pewnych sfer litewskich i polskich usposobionych pacyfistycznie w celu wzajemnego zapoznania się? A gdy Wilno uczyni pierwszy krok, to niewątpliwie znajdą się naśladowcy w Kownie i Warszawie.

Dla tych, co nie stawiają przyszłości Wilna na hazardowną kartę światowego kataklizmu zbrojnego, sytuacja obecna stanowi błędne koło. Rozumieją oni,

że rozstrzygnięcie zatargu polsko-litewskiego musi nastąpić drogą pokojową, na podstawie jakiegoś kompromisu, ten zaś jest możliwy tylko w atmosferze pojednawczej, która znów może się wytworzyć jedynie na gruncie wzajemnej wymiany myśli i zbliżenia, a oto tak trudno w dzisiejszych zaognionych stosunkach. Ktoś więc musi wziąć na siebie inicjatywę uczynienia pierwszego kroku. Obowiązek ten spada na pacyfistów z jednej i drugiej strony. Do nich też się zwracam z niniejszym apelem.

Antoni Walajtis.

## Nos i tabakiera.

(Refleksje mieszkańca zaścianka).

W pewnych sferach lubią u nas dużo deklamować na temat kulturalnej i cywilizacyjnej misji Wilna w stosunku do otaczającego je kraju. A jednak można zanotować szereg symptomatów, które wskazują na to, że Wilno nie tylko przestaje być ośrodkiem, promieniującym swoją kulturą na rozległe przestrzenie ziem litewsko-białoruskich, lecz odwrotnie, że Wilno coraz to bardziej staje się jakby zamkniętą w sobie oazą, tracąc nawet normalny kontakt ze swym macierzystym terenem — ze wsią.

Wszak Wilno nie tylko z tytułu swojej historycznej przeszłości, ale i z natury rzeczy, ze swego geograficznego położenia jest jedynym ośrodkiem miejskim dla kraju, który posiada wybitny charakter rolniczy. Macierzystym terenem Wilna — jest wieś; Wilno musiałoby stać się jakby stolicą wsi. A tymczasem Wilno coraz bardziej odwraca się od wsi miejscowej, coraz bardziej zatracając naturalny kontakt z kilkakrotnie liczniejszą ludnością wiejską. Bez ścisłego współzycia ze wsią Wilno nie tylko zatracę swoje znaczenie ośrodka cywilizacyjnego, lecz zatracę kontakt z naturalnym dla siebie podłożem, dającym mu życiodajne soki. Wilno musi nie tylko współżyć z wsią, lecz musi żyć z wsi. W przeciwnym bowiem razie stanie się usychającym drzewem, któremu zabrakło życiodajnych soków z podłoża.

Jednakże w stosunkach Wilna ze wsią obowiązywać powinna zasada *do ut des*. Wilno powinno zrozumieć, że musi wsi coś dawać, a nie tylko wieś jednostronnie eksploatować. Musi przyspasabiać się do potrzeb wsi i stwarzać warunki sprzyjającego dla niej współzycia. Tymczasem dzisiejsi rządcy Wilna, zdaje się, zupełnie nie rozumieją tego. Nietylko, że nie stwarzają warunków przyjaznego współzycia, lecz odwrotnie, jakby rozmyślnie dążą do sztucznego odgradzenia się od wsi.

Życie, jak zwykle, składa się z pewnych drobniaków, które jednak w kompleksie wytworzą całokształt stosunków. Otóż należy zwrócić uwagę na owe pozorne drobniaki, które charakteryzują dosadnie stosunek władz miejskich do mieszkańców wsi. Każdy, kto zna Wilno oddawna, musiał zaobserwować fakt, że na ulicach Wilna coraz mniej i rzadziej można spotkać wieśniaków. Środek miasta stał się jakby niedostępny dla koźucha i sukmany wiejskiej, a na tak zwanych pryncypalnych ulicach widok ich należy już do rzadkości. Zastanówmy się jednak, czy wieśniak tutejszy stał się jakimś dzikusem, unikającym rozmyślnie ulic Wilna? Czy nie znajduje już

interesów w Wilnie? Nie. Wieśniak Wilno poczęło odstraszać. Wieśniak na bruku wileńskim czuje się nieswojo, czuje się obco. Wieśniak na bruku wileńskim spotyka coraz więcej przeszkód, które nietylko krępują go, jako prostaka, ale które maltretują go, narażają na różnorodne przykrości i swego rodzaju niebezpieczeństwa. Już samo omijanie posterunkowego policjanta napawa wieśniaka dreszczem obawy. I słusznie, gdyż tysiące wieśniaków przekonały się o tem, że takie spotkanie często się kończy dla nich niewesoło. Deszczulki przy wozie zabraknie lub jest ona nie przepisowo uciepiona, koń zakuleje, wóz nie przepisowo naładowany i t. p. — wszystko to spowodować może zatrzymanie wieśniaka, które z reguły kończy się karą. A trzeba oddać słuszną policji w Wilnie, że otacza specjalną opieką wiejskie furmanki i żadnego porządkowego uchybienia nie przepuści. Nie wiem jak obecnie, ale jeszcze przed paru laty, tysiące mandatów karnych sypały się na biednych włościan w Wilnie za byle drobne uchybienie względem przepisów porządkowych, w których notabene nikt na wsi dobrze się nie orjentuje. Nic więc dziwnego, że znajdując się pod ciągłym strachem, wieśniak poprostu unika Wilna, przynajmniej pewnych jego punktów. Dość przypatrzeć się wózkom wieśniaczym, jak to chyłkiem, bocznikami, kolując nieraz niepotrzebnie, ze strachem w oczach, przemykają się po ulicach Wilna. Zdarzało się słyszeć, że wieśniacy wręcz odmawiają dojeżdżać do pewnych punktów Wilna, byle tylko uniknąć omijania policjanta z białą laseczką. „Nie, tam ja nie pojedę” — mówi taki wieśniak, a zapytany dlaczego — odpowie: „bo tam stoi policjant — ot weźmie i przyczepi się bez przyczyny”. I ten pogląd, że policjant „weźmie i przyczepi się bez przyczyny” — jest powszechny wśród odwiedzających Wilno wieśniaków.

Policjant, naturalnie, musi na posterunku spełniać swój obowiązek, zgodnie z obowiązującymi przepisami. Ale wobec tej powszechnej opinii wydaje się, że jest tu coś nie w porządku: albo przepisy porządkowe są zbyt surowe w stosunku do wiejskiego gościa — być może brak w nich tolerancyjnego przystosowania się do wieśniaka, albo też policjanci zbyt gorliwie i rygorystycznie stosują swoje uprawnienia.

Ale największym być może utrapieniem dla wieśniaka — są obnażone bruki wileńskie w czasie zimy, kiedy w całym kraju panuje wyłącznie komunikacja sanna. Wprost trudno zrozumieć, jak można tak ignorować naturalne warunki komunikacyjne z wsią otaczającą. Wszakże wszystkim wiadomo, że w ciągu całych miesięcy na wsi istnieje tylko komunikacja saniami. Sanna droga jest nawet u nas dobrodziejstwem przyrody, gdyż stwarza uproszczoną i o wiele tańszą komunikację; jest więc u nas dodatnim czynnikiem ekonomicznym. Tymczasem miarodajne władze wileńskie są ślepe na to i już od szeregu lat, z pewną wprost zawziętością, systematycznie niszczą sanną komunikację na ulicach Wilna. Z powodu stałego uprzątanego śniegu na ulicy jest on utrzymywany o tak cienkiej warstwie, że przy każdej odwilży już go braknie, a wówczas tysiacy sań, przybywających z bliższych i dalszych okolic Wilna, znajdują się w rozpaczliwym wprost położeniu. Bo wówczas, gdy naokoło, w całym kraju, panuje wyłącznie sanna, kiedy o kołach nie może być i mowy, wówczas w Wilnie sterczą obnażone bruki, na których męczą się i konie i ludzie.

Ale są okresy, kiedy wieś musi zrezygnować zupełnie z komunikacji z Wilnem, gdyż w Wilnie obo-



wiązują koła, wówczas, gdy do Wilna możliwy jest dojazd tylko saniami. Zwłaszcza daje się to odczuwać na przedwiośniu, kiedy to władze administracyjne gwałtownie robią na ulicach wiosnę. Wówczas po pierwszej odwilży, z niewiarogodnym pośpiechem, usuwa się śnieg z nlic, wyłamuje się wytorzoną na jezdni warstwę lodu i obnaża się bruk. W wewnętrznej komunikacji nie stanowi to jeszcze katastrofy, gdyż wnet pojawiają się koła i robi się lato. Ale pomyślmy sobie w jakim położeniu znajduje się wieś otaczająca, gdzie przez całe tygodnie obowiązuje jeszcze sanna droga. Dla wieśniaków, odwiedzających Wilno, staje się to wprost katastrofą, gdyż dojechać do Wilna w tym czasie (a trwa to nieraz kilka tygodni) — w żaden sposób nie można. Lecz nie tylko wieś cierpi podczas takiego stanu rzeczy. Odbijać się to musi fatalnie i na mieszkańcach miasta, gdyż ustaje, względnie zmniejsza się dostawa produktów wiejskich. Cierpi na tem również i handel, który musi fatalnie odczuwać takie powstrzymanie dopływu klientów wioskowych.

Ta nietolerancja w stosunku do śniegu na ulicach Wilna jest jednym z tych „drobiazgów”, które dobitnie charakteryzują stosunek Wilna do wsi. Wydaje się tak, jakby władze zupełnie nie orientowały się w tem, że nie można pozbawiać tysiącznych reszty wieśniaków naturalnego kontaktu z Wilnem. Już nie mówiąc o tem, że i wewnątrz Wilna należałoby raczej podtrzymywać możliwie tę naturalną u nas komunikację zimową, ale czyż można tak zupełnie ignorować potrzeby i wymagania wsi? Takie postępowanie władz miejskich wieśniacy sobie tłumaczą specjalnem popieraniem ruchu automobilowego. Słyszysz się też opinie, że robi się to poto, aby zatrudnić bezrobotnych. Ale wszystko to nie jest w stanie wytłumaczyć tego faktu, że przez wiele tygodni zamyka się normalną komunikację Wilna ze wsią. Przeciwnie w interesie własnym miasta leży, aby tę komunikację ze wsią podtrzymać i ułatwić. Jeżeli dla ruchu autobusowego zachodzi potrzeba uprzątania śniegu na pewnych ulicach, to niechże nie robi się tego w całym mieście, a przynajmniej niech władze zatroszczą się o to, aby choć pewnymi arterjami dojazd sanny był umożliwiony dla odwiedzających Wilno wieśniaków.

W sferach miejskich rozważaną jest obecnie szeroko sprawa asfaltowania ulic. Powstaje pytanie, czy zastanawia się ktoś nad tem w jaki sposób ta kulturalna inowacja odbije się na konnym ruchu? Otóż zgóry należy przewidzieć, że w pewnych okresach roku, komunikacja konna po asfaltowanych ulicach stanie się wprost niemożliwą, zwłaszcza dla wieśniaków. Podczas ślot listopadowych i grudniowych, kiedy to często pada mokry śnieg z deszczem, a również podczas często u nas przytrafiających się gołoledzi — na asfaltach będzie panować istna ślizgawica, na której żaden koń nie potrafi się utrzymać. Zwłaszcza zdarzać się to będzie na tak powszednich w Wilnie pochyłościach terenowych. Na asfaltowanych ulicach bardzo trudno będzie utrzymać potrzebną sanna drogę i można przewidzieć, że w ciągu zimy asfalty będą najczęściej obnażone, komunikacja saniami będzie wówczas uniemożliwiona. Już obecny wygląd wileńskich jezdni, na niektórych ulicach, wykazał nieprzystosowanie ich do utrzymania normalnej sannej drogi. Powstaje to stąd, że poziom chodników obniżył się w stosunku do poziomu bruku, a wskutek tego nie może być na powierzchni bruku utrzymywana grubsza warstwa śniegu, gwa-

rantująca normalną sanna drogę. Wskutek bowiem grubszej warstwy śniegu poziom chodników staje się niższym od poziomu jezdni, co szczególnie na wąskich ulicach (np. Zamkowa, Wileńska), może powodować zatopienie chodnika podczas odwilży, jak również ześlizgiwanie się (zanoszenie) sań na chodnik, co zagraża przechodniom poważnem niebezpieczeństwem. Okazuje się, że dawna forma jezdni, z bocznymi rynsztokami i wyższymi chodnikami była bardziej odpowiednia do zimowej komunikacji. Otóż należy przewidzieć, że te inowacje asfaltowe, których przedsmak już dziś mamy na odnowionych ulicach, fatalnie odbiją się na normalnej komunikacji saniami w ciągu zimy, gdyż przy takiej konstrukcji jezdni i chodników — śnieg na ulicach Wilna stanie się tylko przelotnym gościem.

Czy może jednak Wilno ignorować naturalne warunki przyrody i klimatu? Klimat wszakże obowiązuje. Niemożna również zapominać o tem, że Wilno jest bądź co bądź miastem północnem i, że przyroda obdarza nas pokrywą śnieżną, która w lata normalne trwa zwykle cztery miesiące. Jeśli się nie mylę, zima trwa w Wilnie o 17 dni dłużej, niż w Warszawie. Wilno musi się więc przystosować do swojej przyrody i gwałcenie jej praw będzie zawsze połączone z gwałceniem również naturalnych warunków gospodarczych. Niech więc opiekunowie dzisiejsi Wilna nie wzorują się zbyt na Warszawie, która leży w innej przyrodniczej strefie.

Ojcowie miasta, a również władze nadzorcze mają pasję stwarzania w Wilnie pozorów szyku i elegancji, bardzo powierzchownego gatunku, wzorowanych na modłę stolic europejskich. Już Delegat Rządu p. Roman (zdaje się bez żadnych podstaw prawnych) przybrał konie dorożkarskie w uniform krakowski, pozbawiając je tradycyjnej „duhi”, tak doskonale przystosowanej do warunków miejscowej komunikacji i pospolicie od wieków używanej w kraju naszym. Stworzyło się w rezultacie z dorożek wileńskich karykaturę, niedopaśowaną ani do terenowych warunków jazdy, ani do kolorytu Wilna, a przedewszystkiem do konia nieszczęśliwego, który ucierpiał na tej inowacji najbardziej. Bo pozostawiając dorożkę rosyjskiego fasonu, właśnie do upręży z duhą przystosowanej, przyczepiło się do niej konia przybranego w błyszcząca krakowską uprząż.

Istnieje naogół tendencja do wprowadzenia w Wilnie błyskotliwych błahostek, pozorujących kulturę. Ale dotykamy tego tematu tylko mimochodem. Natomiast podkreślić chcemy zupełny brak troski o gościa ze wsi — o wieśniaka. Nikt się tu nie troszczy o najprymitywniejsze jego wygody i potrzeby. Nikt nie pomyśli o tem, czy mają gdzie się zatrzymać ci ludzie, czy mają gdzie swoje konie postawić, napoić je i nakarmić. Czy mają gdzie po ludzku przemocować przyjezdni wieśniacy, których interesy prowadzą do Wilna z dalszych okolic, a którzy przybywają tu furmankami nieraz na kilka dni. Brak tu miejsca opisywać martyrologję wieśniaka, przyjeżdżającego do Wilna, ale stwierdzamy tylko, że nawet dla tak twardej istoty, jaką jest wieśniak tutejszy, odwiedziny Wilna są połączone z niewiarogodnymi trudnościami i wysiłkiem.

Ten blichtr powierzchowny, z którego dumni są niektórzy wilanianie (szczególnie świeżej daty) — jest często powodem wprost niekulturalnego stosunku względem siermiężnego obywatela ze wsi. Bo czyż nie tkwi brak kultury naprzykład w tem, że się zmusza tysiące wieśniaków do męcznienia się z saniami

na obnażonym ze śniegu bruku, wiedząc dobrze o tem, że w porze zimowej i na przedwiośniu sanie stanowią jedyny sposób lokomocji dla okolicznej wsi? Robią się klombiki, stawiają się koszyki, za byle słomkę rozsypaną z woza karze się wieśniaka—a ten że wieśniak nie znajdzie w Wilnie publicznego ustępu, w miejscach swego postoju styka się z brudem i niechlujstwem. Nie ma gdzie w Wilnie wprost przytulić się, nie ma gdzie usiąść, zjeść przywiezioną strawę — wogóle znajduje dla siebie w tem pozującym na kulturę Wilnie, warunki wręcz niekulturalne.

A wszak Wilno nietylko pośrednio czerpie niezliczone korzyści z ludności rolniczej, ale i bezpośrednio ściągą z niej bardzo poważny haracz, zasilający skarb miasta; wystarczy wskazać tu chociażby na pokaźny podatek od wyładunków, tak obciążający rolnictwo. Tymczasem niema żadnej skłonności do uregulowania szeregu palących bolączek, trapiących wiejsko-miejskie stosunki. Miasto patrzy na te sprawy bardzo krótkowzrocznie i jednostronnie, idąc na lep doraźnych korzyści. Municypalność wileńska, przy aprobacie władz państwowych, stale lekceważy tę oczywistą prawdę, że rozwój i pomyślność Wilna są ściśle związane z wsią, a w szczególności zależą od pomyślnego ułożenia się wzajemnych stosunków miasta do wsi. Wilno nie może odwracać się od wsi, nie może obojętnie lekceważyć, nawet z pozoru drugorzędnych spraw, które są sprzeczne z interesami i potrzebami wieśniaka.

Gudas.

## Z mego notatnika.

### Popisy akrobatyczne.

P. Adolf Nowaczyński znany jest ze swoich łamańców politycznych. Dziś twierdzi jedno, jutro będzie z równą łatwością dowodził czegoś wręcz przeciwnego. A zawsze z aplombem, z całą pewnością siebie, nie krępując się ani ścisłością faktów, dat i nazwisk, ani konsekwencją, ani nawet wskazaniem programowemi tego obozu, któremu tak wiernie służy od szeregu lat swem piórem.

Na jednym tylko punkcie jest zawsze szczerzy i wierny sobie. W stosunku do Piłsudskiego, a jeszcze bardziej do piłsudczyków nikt mu nie zarzuci braku stałości przekonań i uczuć. Nienawiść do sanatorów wypełnia całą jego psychikę, jest niezmienną gwiazdą przewodnią w całej jego działalności publicystycznej.

Cokolwiek obóz prorządowy uczyni, pomyśli lub wypowie, Nowaczyński, uzna to natychmiast za bezmyślne, przewrotne, nikczemne. Jeżeli sanacja będzie utrzymywała, że ziemia krąży dookoła słońca, Nowaczyński będzie dowodził z całą pasją, że teoria Kopernika jest przestarzała, będzie sypał cytatami z nieznanym nikomu dzieła, przytoczy opinie astronomów, o których nikt nie słyszał, powoła się w końcu bez żadnych skrępowań na Einsteina i wykaże, jak na dłoni, że kula ziemską tkwi nieruchomo we wszechświecie, a słońce codziennie obiega ją wokół.

P. Nowaczyński nie cierpi Żydów. Gdyby jednak sanacja uderzyła w ton jaskrawo antysemitki, jestem pewien, że Nowaczyński poczułby gorąco

bronić Żydów, piorunując na zacofanie i niekulturalność obozu belwederskiego.

Był czas, gdy Nowaczyński o Litwie i Litwinach odzywał się w sposób lekceważący i pogardliwy, a Kowno i praca państwotwórcza litewska dawały mu niewyczerpany temat do niewybrednych dowcipów. Było to wtedy, gdy endecja posadzała Piłsudskiego o plany federacyjne, a w wyprawie wileńskiej z r. 1919 oraz w inscenizacji buntu Żeligowskiego wietrzyła zdradę interesów narodowych na rzecz jakichś nieokreślonych ideałów wielko-litewskich.

Wystarczyło jednak rozwiania się legendy o litewskich inklinacjach Piłsudskiego, by Nowaczyński natychmiast zmienił front. Naganka prasy sanacyjnej na Valdemarasa, słynne retorsje wileńskie, okoliczności towarzyszące spotkaniu Piłsudskiego z Valdemaraszem w Genewie, popieranie akcji pleczkajtisowców, słowem wszystko, co stanowiło jaskrawe zaprzeczenie rzekomej lituanofilskiej polityki rządów pomajowych znalazło w Nowaczyńskim surowego krytyka i bezwzględniego satyryka. Potrafił Nowaczyński dostać się jakoś do Kowna i od tej chwili przedzierzgnął się w gorącego zwolennika porozumienia z Litwą...

Nie jedna już płomienna filipika wyszła na ten temat z pod jego pióra, ale ostatni artykuł p. t.: „Pogoń i Orzeł” w numerze świątecznym „Gazety Warszawskiej” może uchodzić za szczyt czelności i perfidji.

„Lat temu pięć mieliśmy tam \*) jeszcze wielu, wielu przyjaciół, wielu zamaskowanych, utajonych popleczników, zwolenników, inklinujących szczególnie do polskiej literatury, sztuki, malarstwa, muzyki, teatru. Podziw dla armji polskiej wszędzie był wielki... Ci i owi z lubością wspominali a to Warszawę, a to Kraków, gdzie się ich dużo przed wojną jeszcze kształciło. Przy mocnem wyteżeniu dobrej woli, energii, pomysłowości, przy dużych ustępstwach gospodarczych i wydatnej pomocy finansowej, można było pięć lat temu dojść najpierw do słomianej ugody, a potem do szczerego i pełnego porozumienia, *oczywiście nie bez ustępstw, koncesyj i kompromisów*”.

Temi słowy rozpoczyna p. Nowaczyński wspomniany artykuł. Przecieramy oczy ze zdumienia. Na czem opiera autor podobne informacje? I jeżeli tak było, to czemu p. Nowaczyński wtedy milczał i nie nawoływał do zmiany polityki polskiej w duchu pojednawczym?

Ale oczywiście wszystko popsuł przewrót majowy. Szeregi „zaczajonych” litewskich polonofilów zaczęły się przeredzać... Najbardziej tu zawiniła prasa sanacyjna, „obryzgująca tak Litwinów, jak Litwę i Waldemarasa obraźliwemi epitetami (karzeł, warjat, „państwo kowieńskie” na żoldzie pruskim i t. p.)”.

„Stalą kurtuzję kierownictwa naszej polityki zagranicznej dezawuowała brutalna ordynarność tej prasy, która w Kaunas uchodziła za belwederską. Litwini czuli się nietylko skrzywdzeni, ale także systematycznie obrażani. I n d a e i r a e na cały naród polski, który przecież z prasą Brygady (przeważnie semicką) wspólnego nic nie miał, a który do Litwinów i ich niepodległości żywi, jak żywił, dużą sympatię”.

(Iśmiać się doprawdy można z takiego gada-

\*) Tam — trzeba się domyślać, że w Kownie. (Red.).

nia. Tak, jakby prasa endecka w stosunku do Litwinów zachowywała inny ton, bardziej umiarkowany i przyzwyciły! „Karzeł litewski” — wszak to ulubione dotąd wyrażenie „Dziennika Wileńskiego”, żadne bodaj pismo sanacyjne nie dorównało temu bogoojczyźnianemu organowi w sianiu nienawiści do Litwy Niepodległej, a nawet do języka i narodu litewskiego wogóle.

Zaduzo miejsca zabraloby wyliczanie wszystkich zawartych w tym artykule dowolnych twierdzeń, fałszów i naciąganych przykładów, mających udowodnić, że tylko obóz pomajowy zawinił w zaostreniu stosunków polsko-litewskich, endecja zaś zawsze pragnęła zgody i porozumienia. Kto temu uwierzy?

Bardzo to pięknie, że p. Nowaczyński nawołuje prasę polską, aby porzuciła dotychczasowy swój styl „raubrytterski czy Kerzela” i nabrała innych manier w rozmowie z Litwinami, ale niech nie zwała całej winy na „prasę belwederską”, niech przede wszystkim te admonicje skieruje do swych przyjaciół politycznych: p. Obsta i tym podobnych.

Licz.

## Litewskie ordery i odznaki zasługi.

Szerszemu ogółowi zapewne znane są te wszystkie złotem, drogiemi kamieniami, różnokolorowym jedwabiem i emalją kąpiące dekoracje, które zdobią klapy czarnych fraków, lub wojskowe mundury, magnetyczną siłą przykuwając wzrok ciekawego tłumu. Bo i niełatwo też zorientować się w tych krzyżach, gwiazdach, szarfach i wstęgach różnych form i barw, jakich każde państwo posiada niemną ilość.

Obliczają, iż ogólna liczba zagranicznych odznak, jaką może uzyskać jeden człowiek, sięga 200. Posiadał je prawie wszystkie Filip Crozier, szef protokołu we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych przed wojną. Wartość tych odznak, ozdobionych drogiemi kamieniami, wynosiła wcale pokaźną sumę ok. 40 tys. franków. Nie był on jednak człowiekiem najbardziej udekorowanym orderami. Powiadają, iż pierś portugalskiego generała hr. de Salhanda w czasie wielkich uroczystości były literalnie zasypane orderami, których jeszcze połowę musiał dla braku miejsca na swym mundurze zostawić w domu.

Niektóre ordery zresztą, jak np. angielski Podwiązki, lub hiszpański Złotego Runa, nie dają się umieścić całkowicie na piersiach. Stanowią one cały ubiór specjalny, który się przywdziewa podczas wielkich uroczystości.

Jednym z orderów, które najtrudniej otrzymać jest order Duńskiego Słonia: liczy on ogółem tylko 30 kawalerów, a i tymi mogą być jedynie książęta krwi.

Mniej są znane ogólnie ordery nowych, powstałych po wojnie państw.

Jakie są obecnie odznaki zasługi w Republice Litewskiej?

Jak dotąd, ustanowiono w niej trzy ordery: Witolda Wielkiego, Krzyża Pogoni i W. Ks. Gedymina. Poza tym istnieją jeszcze 4 medale i 4 inne odznaki.

Najwyższym orderem państwa litewskiego jest order Witolda W. z łańcuchem. Niełatwo zobaczyć, jak on wygląda, ponieważ oprócz prezydenta republiki posiada go na mocy osobnego aktu jeszcze tylko prezydent państwa lotewskiego. Posiadający ten order wysoki dygnitarz wkłada ze stylizowanych liter „V” utworzony łańcuch, do którego jest przyczepiony znak tego orderu 1-go stopnia — biały emaljowany ze złotą królewską koroną krzyż, przy boku — złota 9-promienna gwiazda i biała z ciemno-złotymi paskami po brzegach wstęga.

Order Witolda W. został ustanowiony w 1930 roku jubileuszowym 500-lecia zgonu W. Księcia i ma 5 stopni. Oficjalne święto orderu — święto narodowe 8 września. Wysoka ta odznaka jest nadawana za „szczególne zasługi dla państwa litewskiego, narodu litewskiego i dobra ludzkości”. Wszyscy obdarzeni tym orderem są zapisywani w osobnej księdze honorowej, która się przechowuje w pałacu Prezydenta.

Drugim z kolei jest wojskowy order Krzyża Pogoni. Został on założony w 1919 r., a więc jest najstarszy z orderów litewskich. Ma on 5 stopni. Pierwszy jego stopień stanowi 6-ramienny czarny emaljowany krzyż z mieczami, wizerunkiem

Pogoni i napisem „Za odwagę”. 9-promienna srebrna gwiazda i purpurowa w czarne paski wstęga.

Jest to odznaka wojskowa, nadawana za zasługi wojenne i tylko w wyjątkowych wypadkach w czasie pokoju. To też i święto orderu się obchodzi w dniu założenia armii litewskiej — 23 listopada.

Najwyższym stopniem orderu Krzyża Pogoni jest obdarzony szeregiem osób panujących w Europie: król włoski Wiktor Emanuel, król belgijski Albert I, prezydent niemiecki Hindenburg oraz czechosłowacki Masaryk.

Na trzecim miejscu znajduje się order W. Ks. Gedymina, ustanowiony w 1928 r. Jest on nadawany zwłaszcza za zasługi na służbie państwowej, lub na polu pracy społecznej. Ma również 5 stopni, z których pierwszy stanowi srebrny czarno oksydowany krzyż ze złotymi promieniami, słupami gedyminowemi w środku oraz datą niepodległości Litwy 16. II. 1918; do tej odznaki należy pozatem srebrna 9-promienna gwiazda i żółta z 4-ma brunatnymi paskami wstęga.

Oprócz tych trzech orderów w liczbie odznak litewskich znajdują się:

1) Krzyż Pogoni, nadawany żołnierzom za zasługi podczas wojny. Ma 3 stopnie — złoty z mieczami, srebrny biały i ciemny z brązu.

2) Dla odznaczenia zasług oddziałów wojskowych w 1926 r. został założony sztandar orderu Krzyża Pogoni. Odznaka ta może być nadawana również miastom i wioskom za patriotyczne czyny podczas wojny.

3) Jubileuszowy (1430 — 1930) medal orderu Witolda W. Posiada 3 stopnie: złoty, srebrny i brązowy.

4) Medal orderu W. Ks. Gedymina 3-ch stopni (złoty, srebrny i z brązu).

5) Medal ochotników — twórców armii litewskiej — brązowy na zielonej w czerwone paski wstędze.

6) Medal Niepodległości Litwy — z brązu na złocistej z dwoma czarnymi paskami po brzegach wstędze. Został założony w 1928 r. w związku z 10-leciem Litwy.

7) Krzyż zasługi dla ratowników ginących — czerwony emaljowany ze złotymi brzegami i złotym napisem SOS. Krzyż ten się nosi na czerwonej wstędze w białe paski. Odznaka ta ma widoczny związek z nieszczęśliwymi wypadkami zatonięcia na morzu w kraju Kłajpedzkim, by zachęcić rybaków do udzielania pomocy ginącym.

8) Gwiazda Strzelców — biała z emblematami strzelców, nadawana za zasługi dla Związku Szaulisów.

Jak widać z powyższego, nazwy oraz forma i motywy ornamentacyjne odznak litewskich są osnute na tle historycznym.

Najwyższym szefem orderów litewskich jest prezydent republiki, który z urzędu jest kawalerem orderu Witolda W. z łańcuchem oraz orderu W. Ks. Gedymina 1-go stopnia. Odznaki te zachowuje on też po swej dymisji.

Odnaczenie tym lub innym orderem jest związane z różnymi przywilejami. Dla niektórych orderów wyznaczono emeryturę. Jest ona jednak niewielka. Najwyższą emeryturę ma order Krzyża Pogoni 3-go stopnia, którego kawalerowie otrzymują 600 lit rocznie, jednak liczba takich jest ograniczona do pięciu.

Pozatem dzieci odznaczonych orderami w niektórych wypadkach są zwalniane od opłaty w szkołach, odznaczeni mają ulgi w urlopach służbowych, przywileje w awansach, otrzymują jednorazowe pieniężne upominki, ulgi podczas podróży na kolejach żelaznych etc.

Literatura litewska o orderach litewskich, jak dotąd, nie istnieje wcale, jeśli nie liczyć ich statutów i wydanych ustaw. Jedyne pod tym względem źródłem pozostaje więc kompletna w tej materji ustawa, ogłoszona w Nr. 343 „Wiad Urzęd.” z dn. 20 grudnia 1930. Obecnie jakoby jest w przygotowaniu praca z wizerunkami orderów litewskich. W literaturze obcej autor francuski René Mathis wspomina o orderach litewskich w swych dwóch monografiach o odznakach nowopowstałych po wojnie państw.

„Dzień Kowieński”.

Ag-ar.

## Historja jednej mistyfikacji.

„Liet. Aidas” w Nr. 78 z d. 10 b.m. pisze, co następuje:

„Przed paru tygodniami ukazała się w Paryżu w pewnym dzienniku bulwarowym „Paris Midi” sensacyjna informacja ujęta w formie artykułu w sprawie uregulowania kwestji korytarza pomorskiego.

Artykuł podpisany przez naczelnego redaktora „Paris Midi” p. Gabrijela Perreux głosił, że korytarz zostanie zwrócony Niemcom. W zamian za to Niemcy gwarantowałyby Polsce wolne wyjście na morze na obszarach przyznaczonych Niemcom formalnym traktatem podpisanym przez mocarstwa. Odnośny obszar zostałby przytem zdemilitaryzowany. Na obszarze tym zostanie wprowadzony ustój przewidziany w traktacie wersalskim w odniesieniu do lewego brzegu Renu. Niemcy zwrócą wszystkie wydatki, jakie inwestowała w budowę portu gdyńskiego i przeprowadzą na własny koszt projektowaną linię kolejową pomiędzy Górnym Śląskiem a Gdynią. Poza tem Niemcy wywarłyby presję na Litwę w kierunku porozumienia z Polską. W Kłajpedzie powstałoby condominium. Litwa i Polska miałyby w tym porcie jednakie prawa. Wreszcie Litwa zapewniłaby Polsce wolną strefę w porcie libawskim.

Powyższy projekt „Paris Midi” reklamowało jako uzyskany z wiarogodnych źródeł. Uderzająca tylko była wzmianka o Libawie, jako o porcie litewskim. Wkrótce prawda wyszła na jaw i okazało się, że cała ta wiadomość, pochodząca rzekomo z Kowna, okazała się sfabrykowaną w Paryżu przez szefa biura prasowego ambasady polskiej Stefana Aubaca. Ten ostatni nazywał się w swoim czasie Auerbach. Następnie zmienił nazwisko podobnie zresztą jak kilkakrotnie zmienił religję i narodowość. Dziś p. Aubac zrobił się „Litwinem”.

Puściwszy w świat sfabrykowaną wiadomość, Aubac nie zasypiał gruszek w popiele. Tę samą wiadomość podał za pośrednictwem P. A. T. a do prasy polskiej, która zareagowała na to w zwykły sposób, biadając nad „ojczyznę w niebezpieczeństwie”, „nowym rozbiorem”.

Cała ta mistyfikacja była dobrze pomyślana. Autor jej wybrał akurat chwilę, kiedy opinia publiczna we Francji była przygotowana do przyjmowania za dobrą monetę najbardziej fantastycznych rewelacji. Jednakże prawda wypłynęła na wierzch.

Że wiadomość, puszczona przez „Paris Midi” i przedrukowana przez całą prasę polską, była kawką dziennikarską, to dla nikogo, zdaje się, nie ulegało wątpliwości. Ale jako był cel tej mistyfikacji — tego i dziś nikt chyba nie zrozumie, tembardziej, jeśli informacje „Liet. Aidas” o jej autorstwie są ścisłe. Alarmować własne społeczeństwo bez potrzeby — co za sens?

## KRONIKA.

**Wątpliwy zaszczyt.** W swych szczegółowych listach z Madery opowiada p. M. B. Lepecki m. inn., że w toku jednej z rozmów w dniu swych imienin powleździł Marszałek Piłsudski (Expr. Por. Nr. 90): — „Głupi byli ci Polacy, że wzięli sobie za króla Jagiellę, a nie Witolda, który był doskonałym politykiem i wojownikiem”.

Może znów nie byli tak głupi ówczesni panowie małopolscy, rozumieli bowiem zapewne dobrze, że właśnie dzięki wspomnianym przymiotom Witold nie nadawał się na figuranta. Zresztą jest wątpliwe, czy Witold zgodziłby się być wziętym za króla. Zbyt to była natura czynna i silna indywidualność, by zechciała odegrać rolę bierną. A co najważniejsze, Witold marzył o koronie nie polskiej, lecz litewskiej.

**„Triszkin kaftan”.** Obcięcie pensyj urzędniczych dla załatania dziury w budżecie państwa mimowoli nasuwa porównanie do słynnej bajki Kryłowa. Redukcja uposażeń musi

przecie wpłynąć na zmniejszenie gotówki obrotowej, a to znów pociągnie za sobą obniżenie zdolności płatniczej podatników. W takim Wilnie np., które, wobec kryzysu gospodarczego, żyje dziś niemal wyłącznie z urzędników, zmniejszenie się dopływu gotówki o 15% musi się fatalnie odbić na handlu i tak ledwo wegetującym. W konsekwencji zwiększy się ilość bankructw, szereg przedsiębiorstw zostanie zawieszonych, wzrośnie ilość bezrobotnych. Skarb r-a tem ucierpi podwójnie: wpływy z podatków pośrednich i bezpośrednich skurczą się znacznie, a bezrobotnym rząd będzie musiał przyjąć z pomocą.

Już dziś można zauważyć oznaki wzmagającej się stagnacji: w restauracjach i hotelach pustki, w sklepach niema żadnego ruchu, samochody napróżno wyczekują na pasażerów. A za kilka miesięcy kryzys jeszcze bardziej się pogłębi. Nie-wesoło zarysowuje się najbliższa przyszłość Aten litewskich..

**Dowcip krakowski.** Głośny ze swego tupetu, a jednocześnie jaskrawej ignorancji kurjerek krakowski zamieszcza w jednym z ostatnich numerów podobiznę prof. J. A. Herbaczewskiego (kopję portretu pędzla Vlastimila Hofmana), a pod nią następujący, mający pretensję do dowcipu wierszyk:

*Sukur — Mukur Herbaczajtis  
Stulto sed multo gadajtis.  
Litwam magnam chce mieć zaraz  
Jak kolega Waldemaras!  
Sed czekajtis, Herbaczajtis  
I napróžno non gadajtis,  
Bo znajdziecie się tam naraz  
Gdzie kolega Waldemaras.*

W komentarzu redakcja wyjaśnia, że prof. Herbaczewski obecnie się nazywa Herbaczajtis (!), że naraził się dość silnie szowinistycznym sferom rządzącym, ponieważ przemawiał i pisał o porozumieniu z Polską, lecz że to mu nie przeszło „snuć marzenia o wielkiej Litwie, obejmującej wszystkie ziemie nad Niemnem, Wilją i Wilejką, gdzie tylko jakichś kilkadziesiąt Litwinów skupiło się w jakąś osadę”.

Niema to jak galicyjski dowcip i galicyjska zaajomość rzeczy!

**Wesołek.** Dn. 19 b. m. w „Kłubie Społecznym” odbyło się pod przewodnictwem profesora i senatora Rydzewskiego dość liczne zebranie, na którym p. Władysław Wielhorski wygłosił obszerny referat p. t. „Moment współczesny w zatargu polsko-litewskim”. Referat był utrzymany w poważnym tonie i należało oczekiwać, że wywoła również poważną dyskusję. Tymczasem pierwszy zabrał głos p. Władysław Studnicki i oświadczył, że żałuje, iż w swoim czasie Polacy nie zajęli Kowna a zakończył swe przemówienie wyrażeniem życzenia, aby Rosja zagarnęła Łotwę i Estonję, Polska zaś przy sposobności Litwę. Wybryk ten przez przewodniczącego nie został skarcony, a spośród zebranych również nie znalazł się nikt, koby niewczesnego dowcipnisia przywołał do porządku. A nie brak u nas ludzi, którzy p. Wł. Studnickiego biorą na serj!

**Zbytek gorliwości.** „Viln. Rytojus” w Nr. 30 zamieszcza korespondencję ze wsi Krokszlis gminy marcinkanckiej, która daje pojęcie o stosunkach panujących w zapadłych wioskach w naszym kraju. Policja czuwa tam nietylko nad bezpieczeństwem obywateli i nad wykonywaniem przez nich obowiązujących przepisów administracyjnych, lecz ponadto jeszcze zadaje sobie trud kontrolowania ich mieszkań i usuwania z nich niewłaściwych, jej zdaniem, ozdób.

Jak podaje autor wspomnianej korespondencji, komendant policji z Rudni w d. 4 marca obszedł szereg chat w wymienionej wiosce, i znalazłszy w kilku z nich obrazki i kalendarze —ścienne z wizerunkiem Pogoni, nakazał je zniszczyć grożąc w przeciwnym razie spisaniem protokołu. Dla przeciwnego naszego wieśniaka protokół jest czemś tak groźnym, że nastraszeni jego perspektywą gospodarze oczywiście wykonali rozkaz posłusznie. Ale władze administracyjne powinny pouczyć gorliwego policjanta, że swe obowiązki pojmuje zbyt szeroko i subiektywnie.

**Curiosum.** W „Il. Kurjerze Codziennym” nieznanym dotąd szerszemu ogółowi prof. Krauze zamieścił projekt podziału administracyjnego Rzeczypospolitej Polskiej, ilustrując go nawet mapką. Wśród licznych projektów analogicznych pomysł prof. Krauzego wyróżnia się tem, że nie uznaje nie tylko terenów historycznych, ale nawet nazw. Z ziem litewskich białoruskich projektodawca wykrawa województwo *dolnopolskie*, Polesie zaś przyłącza do woj. mazowieckiego. Najciekawym jednak jest fakt, że curiosum to wywołało w prasie polskiej poważną dyskusję. Niema takiego głupstwa, któreby nie znalazło oddźwięku.

